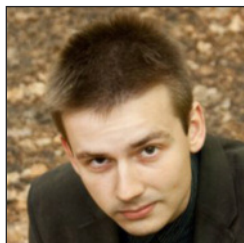


# „Diuna” i „Blade Runner”. Denisa Villeneuve’a naprawianie przyszłości



## ARKADY SAULSKI

Dziennikarz „Gazety Bankowej”, członek zespołu redakcyjnego portalu wGospodarce.pl. Zajmuje się głównie tematyką segmentu gier i transportu morskiego oraz rzecznego.

**Uniwersum Franka Herberta, z Diuną na czele, często określane jest jako „niefilmowalne”. Denis Villeneuve dowiódł, że to nieprawda**

Planeta Arrakis nazywana jest Diuną nie bez przyczyny. Ten pustynny świat z jednej strony jest prawdziwym piekłem dla mieszkających tam ludzi. Pozbawiony wody do tego stopnia, że akt splunięcia uznawany jest za zaszczyt, bowiem spluwający „dzieli się darem wilgoci swego ciała”, zaś picie wody odfiltrowanej z potu, moczu i innych wydzielin organizmu jest niezbędne do przetrwania.

Jest jednak Diuna też planetą, na której powstaje Przyprawa. Bezcenny surowiec pozwalający na podróże międzygwiazdne, ale też, spożyty, zamienia się w narkotyk dający użytkownikowi dar przewidywania przyszłości. Sam świat przyszłości wrócił do feudalizmu. Ludzkość ściśnięta jest w garści przez Imperatora, zaś wielkie, arystokratyczne rody stały się nowymi zarządzającymi galaktyki. Jednym z tych rodów są Atrydzi. Dotychczas władający zieloną, bogatą planetą, teraz otrzymali w lenno właśnie Diunę, odebraną rodowi Harkonnenów – okrutnemu, bezwzględnemu, ale przez to zapewniającemu Imperatorowi potężne dochody dzięki wyzyskiwaniu planety i jej miesz-

kańców, wyciskaniu z nich ostatnich ziaren Przyprawy. Atrydzi przyjmują nowe lenno, ale nie będą cieszyć się nim zbyt długo. Harkonnenowie chcą odzyskać planetę. I nie zatrzymają się przed niczym, dążąc do swojego celu.

Jeśli ktoś zastanawia się teraz, czy opisałem fabułę powieściowego pierwowzoru Franka Herberta, czy ekranizację Denisa Villeneuve’a, to odpowiadam – oba. Ekranizacja Diuny jest bowiem boleśnie wręcz wierna książkowemu pierwowzorowi – ze wszystkim, co w powieści dobre i złe. Taka jest cała twórczość reżysera – często trudna w odbiorze, ale osobom, które zdecydują się podjąć wyzwanie – daje nie lada satysfakcję.

## Fantastyczny reżyser?

Kim jest Denis Villeneuve? To kanadyjski reżyser, który zaczął od małych produkcji, pełnych symbolizmu i opartych na drobnych budżetach, by już w Hollywood skorzystać z gigantycznych budżetów. Jednak nadal opowiadał nie mniej ambitne i nie mniej głębokie historie. Moim pierwszym

spotkaniem z twórczością frankofońskiego Kanadyjczyka był film „Prisoners” z 2013 roku. Ten drobny dramat kryminalny swego czasu był uznawany za film, dzięki któremu niedoceniany (czy widzą już Państwo punkty wspólne?) Hugh Jackman miał otrzymać Oscara za rolę pierwszoplanową. Ostatecznie go nie otrzymał, ale o jego roli pamięta się do dziś, a aktor znany z filmów akcji otrzymuje dziś znacznie ambitniejsze zadania.

## **Picie wody odfiltrowanej z potu, moczu i innych wydzielin organizmu jest w świecie „Diuny” niezbędne do przetrwania**

„Prisoners” to przede wszystkim historia porwania, rzucającego dwójkę ojców w wir wydarzeń, podczas których odkrywają w sobie straszliwe okrucieństwo. Z kolei prowadzący śledztwo detektyw (w tej roli Jake Gyllenhaal) zagłębia się w świat tak okrutny, że pod koniec aż trudno nam uwierzyć, iż tyle zła skumulowało się w jednym miejscu i czasie. Nie jest to jednak historia przesadna – każdy kto zna sprawę molestowania dzieci z Hosanna Church ma świadomość, że „Prisoners” to wizja niemal wyglądająca.

Już w tym obrazie Villeneuve udowodnił, że nie tylko potrafi zbudować perfekcyjną dramaturgię, ale też stworzył klimat i obrazy tak wymowne, jakbyśmy obcowali z twórczością Ridleya Scotta w jego najlepszych latach. Plastyczne ujęcia, wyraziści bohaterowie, perfekcyjnie

poprowadzona dramaturgia. Ale też dłuższy – pozornie zbędne, a w istocie wzmacniające przekaz całości – to wszystkie znaki rozpoznawcze Villeneuve’a, obecne od najwcześniejszych filmów.

Kolejnym po „Prisoners” sukcesem reżysera był „Sicario” – mroczny dramat dotyczący wojny z narkobiznesem na pograniczu USA i Meksyku. Brutalny, bezwzględny, cyniczny, pokazywał, że Villeneuve nie ma zamiaru dać się zaszukadkować jako twórca „feel-good movies”, które Hollywood tworzyło od swego zarabia. Kanadyjczyk szedł własną drogą, dlatego tak wielkim zdziwieniem było porzucenie idei sequela „Sicario” (sequel ten powstał, ale spuśćmy nad nim zasłonę milczenia) na rzecz ryzykownego projektu pod tytułem „Arrival” – filmu opowiadającego o wizycie kosmitów na Ziemi.

Villeneuve znowu wydobyl to, co najlepsze ze swoich aktorów. Amy Adams (czy tylko ja uważam, że to najwybitniejsza aktorka działająca obecnie w USA?) grająca specjalistkę ds. językoznawstwa musi stworzyć... nowy język, by porozumieć się z obcą cywilizacją. Lecz film wychodzi poza schemat zainicjowany w „Kontakcie” Zemeckisa. Porozumienie jest ważne, ale ważniejsze jest rozważanie nad naturą czasu, wyboru, ludzkich decyzji, wreszcie głębokiej filozofii postrzegania czasu przez istoty wielowymiarowe. Tak, to tego sortu rozważania, zapakowane w zgrabnym, dwugodzinnym filmie made In Hollywood.

Toteż gdy uznano, za radą samego Ridleya Scotta, że to Villeneuve ma być reżyserem niespodziewanego sequelu kultowego „Blade Runnera”, miłośnicy fantastyki zacierali ręce w oczekiwaniu.

Tymczasem, jak miało się okazać, projekt ten, pozornie wymarzony, był dla reżysera największym kryzysem w karierze.

## „Myślałem, że to mój koniec”

To będzie wypowiedź kontrowersyjna – ale nie uznaję pierwszego „Blade Runnera” za film wybitny. Owszem, wizualnie jest to majstersztyk. Scott wykreował bazową wizję dla całego gatunku cyberpunka, jednak wersje zaprezentowane po latach przez reżysera są dramaturgicznie kalekie a montażowo – co najmniej drętwe. Dość rzec, że pierwotna, poszatkowana przez studio wersja, która trafiła do kin (i okazała się budżetową porażką) jest najbardziej zdatna do oglądania.

### **Ekranizacja Diuny jest bowiem boleśnie wręcz wierna książkowemu pierwowzorowi – ze wszystkim, co w powieści dobre i złe**

Jak wielkim chichotem historii jest fakt, że „Blade Runner 2049”, czyli sequel stworzony przez Villeneuve’a podzielił los pierwowzoru. Wysmakowany wizualnie, perfekcyjny realizacyjnie, okazał się klapą budżetową, przynoszącą straty studiu produkcyjnemu. Jednak został doceniony przez fanów pierwowzoru i krytyków.

Sam Villeneuve w niedawnym wywiadzie przyznał, że spodziewał się, iż „Blade Runner 2049” zakończy jego karierę. Przykra konstatacja – jeśli wziąć pod uwagę, jak wybitnym filmem jest sequel. Owszem – jak każdy film reżysera, także i ten jest przeciągnięty dramaturgicznie, pełen dłużyzn i momentów o zerowej dramaturgii, jednak z punktu widzenia głębi i wizualiów trudno sobie wyobrazić cie-

kawszy obraz. Nawet z Ryana Goslinga, aktora zamkniętego w wizerunku pretty boya, Villeneuve potrafił wycisnąć wspa- niałą kreację, wykorzystując... pozorne słabości. Przepiękny Gosling gra istotę w założeniu perfekcyjną, androida ściga- jącego inne androidy. Jednak to jego pogoń za prawdą o własnym pochodzeniu pozwala wykonawcy na wyciśnięcie ostat- nich soków z roli i zaprezentowaniu naj- ciekawszej kreacji w karierze.

Nie przyciągnęło to jednak widzów do kin.

A szkoda, bowiem sequel „Blade Run- nera” nie tylko był niezwykle wierny kli- matowi pierwowzoru i rozwijał uniwersum pierwotnie zarysowane przez Phillipa K. Dicka, ale też odwoływał się wprost do elementów, które w pierwotnym „Łow- cy...” się nie znalazły. Pierwsza scena z 2049 była pierwotnie napisana dla ory- ginału. Sami scenarzyści także byli tymi samymi, którzy pracowali nad pierwotnym skrypcem w latach 80-tych. Te podobień- stwa, nawiązania i hołdy można wymieniać długo – dość powiedzieć, że Villeneuve dokonał czegoś, co można określić po- prawieniem przyszłości. Mówimy bowiem o kinie science fiction – poprawienie do- tyczy wszak obrazów powstałych lata temu. Jeśli o „Blade Runnera” chodzi, bodaj najbardziej zabawny jest fakt, że to właśnie dokręcone naprędce, optymis- tyczne zakończenie filmu kinowego, wzgar- dzone przez Scotta, okazało się de facto kanoniczne dla Villeneuve’a, który wycisnął zeń inspirację do kontynuacji. Zresztą sam motyw Deckarda-replikanta, mocno forsowany w późniejszych wersjach re- żyserskich Scotta, został w sequelu od- rzucony przez Kanadyjczyka na rzecz mniej oczywistego rozwiązania. Tak jak pierwotny „Blade Runner” posiadał pewne obiektywne felery, tak i „Diuna”, pierwo-

tnie wyreżyserowana przez Davida Lyncha, otrzymała nareszcie wysokobudżetową adaptację.

### **Diuna klasyczna i nowa**

Uniwersum Franka Herberta, z Diuną na czele, często określane jest jako „niefilmowalne”. To dość banalne, pretensjonalne określenie ma znamionować nie tylko głębię dzieła, ale też ma dawać wyraźny sygnał filmowcom, iż adaptacja będzie jeśli nie niemożliwa, to bardzo trudna w realizacji.

Zawsze podejście to uważałem za głupie.

Owszem, „Diuna” Herberta napisana jest przyciężkim, topornym stylem, jednak dramaturgicznie jest to opowieść bardzo filmowa, mająca klasyczną strukturę, choć – chwilami – ciężąca czytelnikowi zbędnymi dłużyznami, długąsnymi opisaniami posiedzeń, rozmów, negocjacji etc.

Czyli rzeczami, które Villeneuve uwielbia.

Jego kino pełne jest przesadnie rozwleczonych ujęć, scen, które odnalazłyby się raczej w lubującym się w statycznych ujęciach anime, niż filmie kinowym. A jednak reżyser nie tylko potrafi tymi kadrami zaciekać, ale też nie męczy nimi widza.

Głównie dlatego, iż każda scena jest u Villeneuve’a przemyślana co do detalu, także realizacyjnie. Bliski jest on w tym

względnie innemu reżyserowi, pochodzącemu z RPA Neilowi Blomkampowi, który, choć posiada w swej filmografii potknięcia, to jednak zawsze kreuje filmy wizualnie wysmakowane, wyciskając z medium, jakim jest kino, ostatnie soki. Najdrobniejsza rzecz w danym ujęciu jest elementem świata przedstawionego, opowiada jakąś związaną z nim historię. O ile jednak Blomkamp zbliża naszą perspektywę do zwykłych ludzi i drobnych historii, Villeneuve tę samą sztukę wykorzystuje do opowiadania historii bombastycznych, wielkich, epickich.

Taka właśnie jest jego „Diuna”, będąca najwierniejszą adaptacją dzieła Herberta. Taki był „Blade Runner 2049”, „Arrival” ale też inne filmy Villeneuve’a, także te niefantastyczne. Reżyser nie tylko tworzy kino takie, jakie tworzyło się w latach 60-tych czy 70-tych, nie tylko przywraca Hollywoodowi dawną świetność, ale nie lęka się też przed stosowaniem bardzo współczesnych rozwiązań. Można założyć, że po latach pozostawania w niszy, teraz dzięki sukcesowi swojego blockbustera będzie na fali wznoszącej.

Mnie osobiście to bardzo cieszy, jednak czy temu artyście o gigantycznej wyobraźni uda się przełamać marvelizację, powszechną w „dużym” kinie – dopiero się przekonamy.